ŚWIĄTECZNA KOMEDIA ROMANTYCZNA
Z NUTĄ WZRUSZENIA I SZCZYPTĄ GRUDNIOWEJ MAGII

BARBARA KWINTA

I znowu święta

LIRA
WYDAWNICTWO

I znowu święta

BARBARA
KWINTA

I znowu święta

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2026
ISBN: 978-83-68987-00-3

Wszystkim życiowym zakalcom.
Nie dajcie się i pozostańcie dzicy!

„Świat przed katastrofą zawsze
wygląda tak cicho i spokojnie”

Tove Jansson, *Opowiadania z Doliny Muminków*

Październik

1. Amen

— Oto słowo Pańskie. — Ksiądz Rudolf zszedł z ambony, potknął się o własną albę, spojrzał na parę młodą i zaczął kazanie: — Moi kochani… to znaczy, tak się mówi: „moi kochani", bo przecież nie wszystkich was kocham, niektórych tylko lubię, czy choćby toleruję. Na przykład Grześka organistę, ale sam pan Jezus mówił: „umiłowani bracia i siostry", i ja za nim powtarzam. Zatem oto i oni, brat i siostra… To znaczy nie, że są spokrewnieni, kazirodztwo jest, jak wiecie, zakazane, nie tylko w Biblii… Ekhm, na czym to ja skończyłem? A, tak, brat i siostra we wspólnocie wiernych, których nie łączą więzy krwi, lecz uczucie, zostają dziś mężem i żoną. Tak. Tych dwoje po licznych perypetiach staje przed ołtarzem, od teraz jako jedność. Jak przypomina Kohelet: „Lepiej jest

dwom niż jednemu”*. Bo jeśli jeden upadnie, drugi na niego wpadnie… to znaczy go podniesie. Dwoje ludzi to przecież hartowane ogniem sprzymierzenie, więź, która wzmacnia jak… jak wzmacniacz i naciska, emm, latarkę, kiedy gasną światła. Właśnie temu dzisiaj mówicie: „tak”. No. I na koniec, jak to bywa w baśniach, czas, byście żyli długo i szczęśliwie. A w waszym przypadku przynajmniej szczęśliwie. — Zakaszlał. — Cóż… może po prostu czas, byście żyli. Chociaż przez jakiś czas.

2. Część trzecia

W trzeciej części, tej, którą robi się już tylko dla pieniędzy, musi być ślub. No bo co innego? Biała suknia, koronkowy tren, welon zbierający kurz z posadzki, dzieci podające obrączki i łzy wzruszenia cieknące po rumianych policzkach zebranych.

Tylko że ja nie potrzebowałam pieniędzy. Bieda wyprowadziła się zeszłej zimy, a mnie stać było na skarpetki z wełny merino, chleb na zakwasie i pasztet

* Koh 4, 9, Biblia Tysiąclecia.

z mięsem w składzie. Dlatego, a także ze stu innych powodów, ślubu nie będzie. Przynajmniej mojego z Fochem.

Za to Tekla i Romek to inna historia. Powiedzieli sobie „tak" w ostatnią, niemal czerwcową, sobotę października. Girlandy z babiego lata dekorowały drzewa. Gości było tak wielu, że nie zmieścili się w kościele i stali na cmentarzu. Panna młoda wystąpiła w kreacji w kolorze kremu z wuzetki (nieprzypadkowo), pan młody ją pocałował (w usta!), po kościele echem poniosło się „oooch" i „aaach". Ksiądz Rudolf im błogosławił, a Boże Doły świętowały aż do Wszystkich Świętych. Zyta ze sklepu zrobiła nawet promocję na zestaw weselników „wódka i śledź w śmietanie".

Złośliwi twierdzili, że cały ten ślub to głównie z powodów finansowych. Małżonkowie dziedziczą po sobie bez podatku, do tego korzystniejszy PIT, renta rodzinna… wszak Romek jako księgowy znał się na rzeczy. Ale ja tam ostatnio wierzę w miłość. Rozkoszuję się nią, jak trzylatek, co to dorwał się do kalendarza adwentowego i wsunął cały grudzień na raz, nie zważając na konsekwencje.

3. Jak w baśniach

No bo sami przyznajcie. Co złego jeszcze może się wydarzyć? Łamiąca serce rozłąka z trójką rozkosznych gremlinów? Była. Walka o dzieci i dom? Proszę bardzo. Pożar obracający słodkie zakończenie w pył? A jakże. Śnieżyce, rozterki sercowe, rozstania, powroty, prawie goła ekszona, urzędnicy, walka z systemem, ucieczki, zaginięcia, kuratorzy psychopaci… Limit życiowych śnieżynek, które walą w twarz i mrożą krew w żyłach, wyczerpany.

Dlatego teraz to już usiądźcie, zaparzcie ziółka, opatulcie się kocem. Ta historia jest bezpieczna nawet dla milenialsów, artystów i osób z nadciśnieniem. Będzie o świętach, bombkach, pichceniu makowca, miłości słodkiej jak miód spadziowy i o tym, że „żyli długo i szczęśliwie". Jak w baśniach.

4. Skrót

Zanim wjedziemy naszym wesołym autobusem w grudzień, czas wsadzić ołówek w dziurkę, czyli przesunąć taśmę. Kto żył w epoce kaset magnetofonowych, ten wie.

Ci z was, co to przybyli do Bożych Dołów dwie historie wcześniej, wejdą w temat jak ciepły nóż w kostkę masła. Dla tych, co po wstępie czują się zagubieni niczym Mikołaj na osiedlu szeregówek, krótkie przypomnienie, bo przed świętami kto miałby czas na długie?

Matka dała mi na imię Fabia. Na pamiątkę namiętnego spotkania w Skodzie Fabii na jednej z tych dyskotek, na które trzydzieści lat temu chodziły panny na wydaniu, żeby poznać księcia z bajki. Ale ja nazwałam się Magda, bo to ładne imię. Lubię, jak coś jest ładne. Od dwóch lat jestem mamą zastępczą dla trójki mojego rodzeństwa: Leny („Nie mów mi, jak mam żyć, jestem prawie dorosła"), Bola (Young Leosia, Mata, Bedoes 2115, six seven, *Dead Trigger*… i tak nie zrozumiecie) i wreszcie najmłodszego — Franka („Dlaczego pachy nazywają się pachy, a nie śmierdziachy, skoro śmierdzą, a nie pachną?").

Mieszkamy w Bożych Dołach, wsi położonej, jak nakazuje logika, na wzgórzach. Tam też prosperuje słynna Fabryka Bombek Andrzej Gadlewski, w której pracuje niemal cała wioska. W tym ja. Dekoruję, szkicuję, a od zeszłego roku tworzę wzory. Do tego, chyba w nagrodę za dwadzieścia siedem lat życiowego sajgonu, dorabiam w pracy marzeń — projektuję okładki książek dla Wydawnictwa Makutra. Jeśli na

półce w księgarni zobaczycie rysowaną okładkę, bez brokatu, zdjęć stockowych, tandetnych widoczków, nieskalaną sztuczną inteligencją — to mogę być ja. I to jest tak, jakbym poprosiła Mikołaja o Barbie z kamperem, zestawem ubrań i łóżkiem z baldachimem, a on by mi to wszystko przyniósł.

Zanim znaleźliśmy się w domu w lesie, by wieść życie jak z baśni, musiałam zawalczyć w sądzie o prawo do opieki nad gremlinami, trzy razy się przeprowadzić, odkopać z takich zasp, że gdyby nie przyjaciele i ich łopaty, byłabym sześć stóp pod ziemią, a przy okazji zdarzyło mi się zakochać, bo jak mówi jedna z wielu bożodolskich mądrości: miłość i kłopoty żołądkowe (bez obrzydliwości, w końcu to świąteczna historia) przychodzą znienacka. Mecenas Foch zjawił się, by pomóc mi odzyskać dzieci, a potem został, najpierw w progu, później w korytarzu, by wreszcie, tego lata, wejść krok po kroku do kuchni, czyli w sam środek dzikiego galimatiasu.

Jak widzicie, ostatnie dwa lata to młyn. Tematów do plotek pod sklepem starczyłoby na dekadę. Ale zła passa się skończyła, po burzy wychodzi słońce, po nocy jest dzień, i nawet szarańcza z Biblii w końcu odleciała. I to będą najlepsze święta w historii Bożych Dołów, albo nie nazywam się Magda Dzika.

Listopad

5. Czułe słówka

I znowu święta. Ledwie Mariah Carey zdążyła otworzyć usta, już siedziałam przy biurku, przed kartką z napisem: „Dzikie święta — plan doskonały". Foch parzył espresso romano, Franek czytał *Dziady* (sic!), Bolo jak zawsze walczył ze złem (*Dead Trigger 3*), ale tym razem w przerwach czatował z łanią o imieniu Wiki, a Lena skrolowała telefon, osłonięta vademecum maturzysty. Przynajmniej wszyscy razem, na jednym piętrze, tuż obok siebie.

Usiadłam przy biurku w mojej samotni, otworzyłam piórnik, wyjęłam flamastry i zaczęłam szkicować strzałki, tabelki, listy zakupów, rozpiskę działań na każdy dzień aż do Wigilii.

Mój plan zakładał rozświetlenie domu i rosnących w ogrodzie drzew dziesiątkami światełek. Zawieszenie stroika na drzwiach, takiego z wielką, aksamitną

kokardą. Girlandę zdobiącą poręcz schodów. Choinkę na środku salonu, z gwiazdką na czubku, dotykającą sufitu. Pod nią prezenty, prezenty i jeszcze trochę prezentów. I najważniejsze: Wigilia. Dwanaście dań, sianko pod obrusem, cały dom gości, huk, gwar, *Wśród nocnej ciszy*, pasterka. Czy coś pominęłam?

— Przyszło mi do głowy, żeby oprócz babci Foch zaprosić też twoich rodziców. Co ty na to? — spytałam Focha, bo oszalałam.

— To może od razu twojego ojca? Tak dla podkreślenia rodzinnej atmosfery. — Mecenas zaserwował mi kawę z włoskiej palarni. Żeby ją zamówić, zaliczył pierwszy poziom włoskiego w Duolingo.

— Six seven — posłużyłam się zwrotem Bola, choć nawet nie wiedziałam, co to znaczy, i wróciłam do rysowania świąt jak z baśni, bo co mu miałam odpowiedzieć?

Wojtek przynajmniej znał swoich rodziców od urodzenia. Była to znajomość przelotna, a oni podobno nie należeli do osób, z którymi chciałoby się zatrzasnąć w windzie, ale istnieli, mieli imiona i raz w miesiącu dzwonili z Warszawy: „co słychać, synu?". Za to mój ojciec był jak wąsy domalowane Mona Lisie. Nie planowałam go, nie wiedziałam, co mam z nim zrobić i psuł cały obraz.

— Zobacz, tutaj wszystko zmalowałam i opisałam. — Zaprezentowałam Wojtkowi szkic choinki, listę potraw, spis rzeczy do kupienia, pomysły na prezenty, świąteczne stylizacje, menu i plan usadzenia gości.

Mecenas zaszedł mnie od tyłu i dokonał stosownej analizy, gładząc mnie po włosach.

— E… a nie przesadzasz, Dzikusie? Wiem, że to będą pierwsze takie święta, ale „śledź w emulsji z białego porto z pieprzem syczuańskim i różą"? „Wilgotny makowiec Tekli", „zupa grzybowa z suszonych borowików z olejem truflowym i pieczonym topinamburem"? Co to jest w ogóle topinambur? I czy nie uważasz, że pierogi z tej garmażerii na Kleparzu są całkiem…

— Te święta mają być jak z baśni. Od wejścia będzie pachniało barszczem, cynamonem, suszkami, makowcem ze skórką cytrynową. Chcę, żeby powietrze było duszne od zapachów.

— To kupimy jakiś dyfuzor i…

— Sam jesteś dyfuzor.

— Ja tylko wyrażam obawę, że z tego wszystkiego zapomnimy zagrać w *Scrabble*, poleżeć na kanapie z zaplecionymi stopami twoje w moje, zapaść w sen z przejedzenia, ot tak, w środku dnia, i po raz dwieście dwudziesty trzeci obejrzeć *To właśnie miłość*.

— Mam wszystko pod kontrolą, mecenasie. Na tydzień przed świętami biorę urlop. Zrobię zakupy na Kleparzu, upichcę to i owo zawczasu…

— Na przykład „sernik piernikowy na kruchym maśle, z glazurą z białego maku i pistacji”? — Foch doczytał ostatnią pozycję z rubryki „Desery” i dopił espresso.

Odwróciłam się przodem do niego.

— Zależy mi, żeby gremliny zapamiętały te święta. Bez biedy, ciasnoty i strachu, że ktoś nas rozdzieli. Boże Narodzenie to najlepszy czas na budowanie wspomnień z dzieciństwa. To jest ostatni moment, żeby w ich hipokampach zapisał się baśniowy obraz świąt. Wiesz, jaki to ma wpływ na dorosłe życie? Czytałam taki artykuł w „Wiedzy i Życiu”. Naukowcy z Uniwersytetu w gdzieś tam odkryli, że celebrowanie świąt odgrywa ogromną rolę w budowaniu własnej wartości, radzeniu sobie z porażkami, poczuciu wspólnoty — wyliczałam.

Mecenas przez chwilę korzystał z prawa do milczenia. Przekręcił głowę, zmarszczył nos i stał bez ruchu, a to znaczyło, że myślał.

— Dobrze już, Dzikusie. Osobiście poszukam pieprzu syczuańskiego. — Pochylił się, zakręcił fotelem obrotowym tak, że znowu byłam tyłem do niego, zanurzył twarz w moich włosach i pocałował mnie w kark.

Pocałunek w kark naciskał odpowiedni guzik. Wszystko przez nerw potyliczny, który tamtędy biegł. Czytałam w „Wiedzy i Życiu" (wykupiłam prenumeratę). Rozmiękłam jak biszkopt w herbacie i na chwilę zapomniałam o świętach wyjętych z kanału Hallmark.

— Skoro mowa o pieprzu… i pieprzeniu… — Wstałam i pocałowałam Focha w nos, a potem w usta, a potem…

— Chyba musimy wcisnąć pauzę. Dzieci… — Wojtek wskazał na salon oblężony przez gremliny.

Wyglądało na to, że powoli stawał się dojrzałym i odpowiedzialnym opiekunem trójki małoletnich.

Trzy godziny później Franek zasnął. Bolo zamknął się w pokoju z telefonem w ręku, a Lena wyszła na imprezę. Włożyłam satynową piżamę z koronką, tę, w której nie sposób zasnąć, bo wpija się w tyłek i drapie pod pachami, ale przecież takich piżam nie kupuje się do spania, tylko do komunikowania. Zrzuciłam kołdrę na podłogę, aż *Hermeneutyka granic jurysdykcji w sporach transgranicznych* wypadła Fochowi z rąk.

— Mów do mnie czułe słówka. — Usiadłam na nim.

— Rozładowałem zmywarkę.

— Tak.

— Powiesiłem pranie.

— Tak.

— Schowałem rosół do lodówki.
— Tak, tak, taaak!

Drogi Mikołaju,
w tym roku proszę o święta jak z baśni.
I wizytę Roberta Makłowicza, żeby pomógł mi to wszystko ugotować.
Z wyrazami dzikości
Magda

6. Musze szczątki na parapecie

Mieszkanie w środku lasu miało do siebie to, że mieszkało się w środku lasu. Żeby usłyszeć śpiew ptaków, nie trzeba było włączać playlisty „Śpiew ptaków". Wystarczyło otworzyć okno. Żeby się zrelaksować, nie jeździliśmy do spa — wychodziliśmy na taras. Dzikie zwierzęta widywaliśmy za płotem, a czasem w drodze do szkoły albo do pracy. I, co wydawało się jakby luksusowe, mieliśmy czym oddychać.

Może dlatego tak dobrze się tu czuliśmy? Frankowi zdarzało się uśmiechać i bawić zabawkami, choć „to bez sensu". Bolo zakochiwał się co tydzień w innej

dziewczynie i zwiększył zasób słownictwa. Nawet Lena złagodniała. Raz w tygodniu gotowała obiad, nadrobiła zaległości w szkole w chmurze, używała zwrotów takich jak „proszę" i „dziękuję". Sielanka dziesięć na dziesięć.

Foch co prawda narzekał, że stanie w korkach do pracy boli bardziej niż leczenie kanałowe, ale czego się nie robi dla miłości?

Ja na przykład codziennie robiłam śniadanie. Nauczyłam się też, jaka jest różnica między arabiką a robustą (arabika jest smaczna, a robusta paskudna i piją ją tylko snoby) i malowałam usta szminką, choć to już naprawdę było bez sensu. Szminka babrała zęby, brudziła kubki z herbatą i po chwili już jej nie było.

— Pośpiesz się, Fochu, od wczoraj remont na Opolskiej — powiedziałam jednego ze zwykłych listopadowych poranków i zostawiłam na Fochowym policzku ślad tej czerwonej szminki. Może właśnie po to ona była? Żeby kobiety mogły zaznaczać swoich facetów.

— Znowu? — Mecenas próbował wyczyścić z mieszanki błota i igliwia buty nieprzystosowane do życia w lesie.

— Spakowałam ci kanapki z pasztetem i wodę. — Podałam mu lunchbox jak amerykańska pani domu

z lat siedemdziesiątych. Brakowało mi tylko trwałej ondulacji i fartuszka.

— Kochaność dziesięć na dziesięć.

— Czystość butów sześć na dziesięć.

— Pa, Dzikusie. — Foch cmoknął mnie w policzek, bo tak właśnie robią pary z niemal dwuletnim stażem. Zabrał aktówkę, czapkę, kluczyki i wyszedł. Po chwili jego auto walczyło już w koleinach, a ja budziłam gremliny.

Godzinę później, mimo „nie chcę iść do szkoły, boli mnie palec u lewej nogi, chyba mam malarię", byłam już w drodze do fabryki bombek. Listopadowy las pachniał zgnilizną. Wicher ogołocił drzewa, a między konary opadła dymna mgła. Co jakiś czas co lichsza gałąź łamała się pod moimi butami. Odgłosy ruchliwej drogi z każdym krokiem intensywniały i wyobrażałam sobie, że mogłabym dojść do pracy z zamkniętymi oczami, kierując się w stronę zgiełku.

Pod fabrykę dotarłam przed czasem. Auto Romka właśnie parkowało pod znakiem „Parking wyłącznie dla pracowników".

— Już po urlopie? — spytałam księgowego, bo sądząc po nazwie, miesiąc miodowy powinien trwać miesiąc, a Tekla z Romkiem wrócili do pracy po tygodniu.